All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI I Sp.
wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Po kwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 14go PAZDZIERNIKA 1897 ROKU. **Nr. 41**

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 14 Października, Fortunata. Piątek 15 Października, Jadwigi. Sobota 16 Października, Teresy p. Niedziela 17 Października, Joela. Poniedziałek 18 Października, Łukasza Wtorek 19 Października, Piotra z Al. Sroda 20 Października, Wendelina.

Na Niedz. XIX po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Mateusza w rozdziale XXII.

W on czas: mówił Jezus przełożonym Kapłańskim i Faryzeuszom w przypowieściach powiadając: Podobne się stało Królestwo niebieskie człowiekowi Królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swojemu. I posłał sługi swoje wzywając zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Znów posłał insze sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: Otom obiad mój nagotował: woły moje i karme rzeczy są pobite, i wszystko gotowe, pójdźcie na gody. A oni zaniedbali, i odeszli, jeden do wsi swojej a drugi do kupiectwa swego: A usłyszawszy Król rozgniewał się i posławszy wojska swe wytracił owych mężobójców, i miasto ich spalił. Tedy rzekł służebnikom swoim: Godyć są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi. A przeto idźcie na rozstanie dróg, a których kolwiek najdziecie, wezwijcie na gody. I wyszedłszy słudzy jego na drogi zebrali wszystkich, których znaleźli złych i dobrych, i napełnione są gody siedzącymi. A wszedłszy Król, aby oglądał siedzące, obaczył tam człowieka nie odzianego szatą godową. I rzekł mu: Przyjacielu! jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej? A on zamilkł. Tedy rzekł Król sługom: Związćie ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemnożci zewnętrzne: tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wielu jest wezwanych, lecz mało wybranych.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Królowa Niebieska cześć oddaje Panu Jezusowi w Hostyi ukrytemu.

Stanęła po prawicy Królowa odziana szatą chwały. [Ps. XL. IV, 10].

Widzieliśmy, że książęta i królowie mają sobie za zaszczyt znajdować się w orszaku Króla chwały, gdy Go niosą w procesyi do chorych, aby zachęcić wiernych do oddawania tej czci Panu Jezusowi, obaczmy z jaką miłością i uszanowaniem Królowa Anielska przeprowadza kapłana niosącego Przenajświętszy Sakrament.

Oto co się zdarzyło św. Oderykowi zakonu św. Franciszka Serafickiego, z miasta Port–Mahon, stolicy wyspy Minorki.

Gorliwy ten apostoł pewnego razu przechodząc przez las, ujrzy nagle wielką światłość i w tejże chwili staje przed nim dziewica, cudnej piękności i majestatu, otoczona licznym gronem Aniołów i świętych.

— Jam Królowa niebieska, rzecze do niego, nie daleko ztąd jedna z mych służebnic umierająca uboga i opuszczona pragnie Komunii św. Pójdźmy do niej, synu mój, weź pierwej Przenajświętszy Sakrament z kościoła.

Zakonnik rzuca się do stóp Maryi; — Matka miłosierdzia błogosławi go, rozma-

wia poufale powiadając w drodze o cnotach ubogiej dzieweczki, która niewinnością i pobożnością życia zasłużyła na Jej opiekę przy śmierci. W kościele Rajska Dziewica z całym swym dworem upada na kolana adorując Syna i Boga, potem wszyscy śpieszą do chorej. Oh! cóż to za widok! byłaż kiedy na ziemi podobna procesya? O szczęśliwy zakonniku! z jakąż radością i cierpliwością znosiłeś przez resztę dni ciężar boleści ziemskiego wygnania!....

W ubogiej chatce, opuszczona od ludzi, lecz otoczona wieńcem Aniołów i Świętych, błogosławiona dzieweczka przyjmuje Zbawiciela swego.... a ostatnie jej tchnienie wprowadza ją do niebieskich przybytków. O stokroć szczęśliwa duszo! — obyśmy jak ty zasłużyli w godzinę śmierci na łaskę Jezusa i Maryi!

Gdy widzenie znikło, Oderyk wrócił do kościoła; — w sercu jego brzmiał hymn miłości i wdzięczności za dobrodziejstwa Boże.

— Matka miłosierdzia wiele kroć razy cudownie wspierała przy śmierci sługi swoje.

Tak na Jej rozkaz św. Andrzej Korsini zaniósł Wijatyk św. pewnej ubogiej dzieweczce, Bł. Dorota, wielce nabożna do Maryi, dostąpiła podobnego szczęścia i wiele innych.

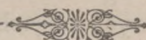
Święty Alfons Liguori opowiada o pewnej ubogiej pasterce, która czułą miłością kochała Najświętszą Dziewicę. Pasząc swą trzodkę w górach, całe dnie przepędzała w kapliczce przed jej obrazem. Z polnych kwiateczków zwijała wieńce, bukiety składała na ozdobę ołtarza Maryi. — ,,O Matko Najmilsza, zwykła mawiać, Ty wiesz, że chętnie złożyłabym u stóp Twoich wszystkie skarby świata.... lecz żem uboga pastuszka, przyjmij ten hołd czci i miłości serca mego''.

Pobożna ta dzieweczka ciężko zachorowała i była już blizką śmierci, gdy dwaj zakonnicy przejeżdżając tamtędy, jeden we śnie drugi na jawie, ujrzą przecudną procesyę, blaskiem chwały jaśniejących dziewic, a między niemi jedną piękniejszą i jaśniejszą nad inne.

— Jam Matka Boża, odpowie Marya; — idę z temi świętemi dziewicami odwiedzić umierającą pastuszkę, która często mój obraz nawiedzała.

Gdy to rzekła, widzenie znikło.

Pójdźmy i my do tej pastuszki, mówią do siebie zakonnicy. Pan Bóg zaprowadził ich do ubogiej chatki, gdzie na garści słomy znajdują chorą dzieweczkę rozpromienioną niebiańską radością, a ta im rzecze: ,,Bracia moi, proście Boga, by wam pozwolił oglądać tu przytomnych''. — Zakonnicy upadli na kolana — i ujrzeli Matkę Bożą z wieńcem w ręku, stojącą przy łożu umierającej. Wnetże Królowa Anielska i święte Dziewice zanuciły hymn niebiański.......
— dusza pastuszki zrywa więzy ciała.... Marya bierze ją w swe objęcia — wieńczy koroną chwały — i w orszaku świętych unosi do Nieba.

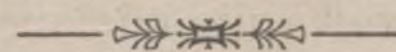


CUDOWNY KRZYŻ

BRAMY WROCŁAWSKIEJ W POZNANIU.

(Legenda.)

Napisał **St. Ad.**



I.

Z okładem będzie temu lat trzysta. Nasza ojczyzna pod rządami natenczas najlepszych królów z Jagiellonów: Zygmuntów rozciągała się od morza do morza i cieszyła się wiekiem złotym, a cześć jej składała wtedy Europa cała. Kwitły nauki, sztuki i

kunszta: kwitły miasta i był dostatek, jakiego nam zazdroszczono, a zagraniczne towary bogaci kupcy po krajach rozwozili i bogacili się.

W tym to czasie zdarzyło się, że jeden z takich możnych kupców Poznania powracał z dłuższej podróży do domu, obładowany czerwonemi złotemi i holenderskiemi dukatami. Dawno go w domu nie było, to też pospieszał się, by jak najrychlej stanąć u swoich i uściskać rodzinę.

Już tylko mil kilka dzieliło go od domu, już najprzód cieszył się powitaniem żony i dzieci; — zmęczonym konikom popuścił trochę lejcówi wolno wózek toczył się w piasku.

Jakto i dziś, tak i dawniej byli źli ludzie, co to krzywdą drugich radziby się zbogacić, co to napadają, rabują i grabią mienie i dostatek, ciężko zapracowany przez drugich. To wyrzutki społeczeństwa, których już tu na ziemi nieraz sprawiedliwość karze.

Kupiec nasz miał sąsiada rzeźnika, który zawistnem okiem spoglądał na dostatek jego, a sam próżniak i leniuch, wolał spędzać czas po gospodach przy kieliszku, zamiast pracą zyskać niezależność. Tak żył z roku na rok, wiodło mu się coraz gorzej, lecz zamiast uznać w czem to złe było i jąć się pracy, porzucić pijaństwo, rzeźnik coraz więcej się opuszczał, pił, bo jak mawiał: ,,Dobry trunek na frasunek'', więc zalewał robaka.

Wieże licznych kościołów i ratusza Poznania zdala się już kupcowi ukazały. Ucieszony, zszedł z wózka, gdyż od długiej jazdy i boki już go bolały i rzekł do chłopaka:

— Ty sobie jedź wolno, a ja przejdę się za tobą piechotą; a gdy do karczmy nade drogą dojedziesz, poczekaj tam za mną, ja tymczasem idąc, pieśni sobie odśpiewam.

W blizkim lasku przy drodze, znikł wózek z oczu kupca, a on sobie zwolna postępował.

Dnia tego właśnie i nasz rzeźnik szedł ku domowi, dobrze podcięty. Ujrzawszy podróżnego, przyspieszył kroku, a poznawszy swego bogatego sąsiada, pomyślał:

— Cha, temu to już pieniądze same do kieszeni włażą i dziś pewno sporo ich wlecze ze sobą, nie jak ja, człek biedny. Co mu po nich, człek toćby potrafił ich użyć. Ot, nikogo nie widać, cóż łatwiejszego jak z tyłu nań uderzyć, ogłuszyć, pieniądze zabrać i umknąć do lasku. Od razu będę bogatym; widać, tak ma się stać i los mi sprzyja, bo pocóż właśnie sam mi w ręce wpada?

Potem obejrzał się — nikogo nie było. Dyabeł zachęcił go, przyspieszył kroku, czego śpiewający kupiec nie dosłyszał i zanimby się mógł obejrzyć poza siebie, uderzony olbrzymim okutym kijem w głowę, padł na ziemię z jękiem okropnym.

Bojąc się rzeźnik, by jęk kupca nie zwabił kogo, jeszcze kilka razy po głowie go uderzył, aż ten całkiem zamilkł. Zerwał mu teraz szybko trzos z pieniędzmi i do gęstego uszedł lasku.

Już niedaleko za laskiem, przy drodze pasł owczarek Janek na ugorze owce. Widział on przejeżdżający wózek, a niedługo potem w lasku usłyszał krzyk jakiś. Zatrwożył się i nie wiele myśląc, poskoczył ku drodze, gdzie go straszny przeraził widok. Kupiec rozciągnięty, cały krwią zbroczony leżał na drodze. Przyskoczył szybko do niego, uniósł mu głowę, ażali mu w czem pomocy dać nie może.

— O biedny, nieszczęśliwy człowieku, rzekł wzruszony, jakiś straszny człowiek tak marnie życia cię pozbawił. O Boże sprawiedliwy, jak mogłeś dopuścić takiej zbrodni!

Dobrą chwilę tak stał i litował się nad

zabitym, nie wiedząc sam, co ma z nim dalej począć, gdy wtem kilku kmiotków nadjechało i tak go zastało.

— Zbrodnia! zabójstwo! wykrzyknęli.

Słyszał słowa te nieopodal będący w ukryciu rzeźnik i myśl mu dyabelna strzeliła do głowy; obszedł z tyłu lasek i drogę i jakoby nic, doszedł do miejsca wypadku.

— A to zbrodniarz! zawołał, trzymajcie go, by nie uszedł, patrzcie na łotra, ludzi napada spokojnych na drodze.

I po słowach tych pierwszy przytrzymał owczarka. Ten zrazu wcale nie pojmował, o co rzecz idzie, co odeń chciano i rzekł:

— Zlitujcie się dobrzy ludzie i zabierzcie ze sobą zabitego, gdyż na drodze niepodobna nam go zostawić.

— To dobre — patrzcie no, jeszcze się nad nim niby lituje, szczęściem, iżeśmy dojechali, byłby nam łotrzyk uszedł, odparł rzeźnik.

— Musimy go związać i do sądu odstawić, dodali kmiotkowie.

— Co, ja mam być zabójcą? krzyknął Janek, ludzie, czego wy odemnie chcecie?

— Patrzcie no, schwytaliśmy go na gorącym uczynku, cały pokrwawiony przy strasznym czynie i jeszcze w oczy nam się zapierać chce. Już ty odbierzesz nagrodę za swój krwawy czyn.

Nie opierał się wcale przemocy ich, boć pewnym był, że niewinność jego się okaże, a zresztą cóżby jeden przeciw tylu mógł zrobić; opór pogorszyłby jeszcze sprawę.

Jeszcze przed wieczorem dostawiono Janka do miasta. Kmiotkowie opowiedzieli rzecz całą, co i rzeźnik potwierdził, a owczarek okuty w ciężkie kajdany, wrzucony został do ponurego więzienia.

II.

Smutną spędził Janek noc w więzieniu, pocieszał się atoli, że przecie rychło niewinność jego się wyda i na wolność puszczony będzie. Dopiero nad samym rankiem usnął na barłogu snem tak twardym, że ani słyszał, kiedy po niego straż weszła i do sądu go zawezwano. Tam opowiedział rzecz całą, jak mu się przytrafiła i z ufnością oczekiwał wolności. Lecz niemało się zadziwił, gdy sędzia odparł:

— Tak łatwo każdemu powiedzieć, każdy niewinnego udaje i na twe słowa tu zważać nie mogę, okaże się to dopiero po wysłuchaniu i zaprzysiężeniu świadków, jak ci zeznają dopiero sprawa się wyjaśni! tyle tylko na teraz powiadam ci, że wyznaniem szczerem zmniejszysz sobie karę, a zapieraniem się tylko ją powiększysz, gdyż tu w sądzie wykręty na nic się nie zdadzą. Tymczasem wrócisz do więzienia, gdzie o chlebie i wodzie siedzieć będziesz, aż się inaczej wyznać nie namyślisz.

— Alem ja przecie niewinny, wielmożny panie sędzio! — z rozpaczą ozwie się Janek — jak swego zbawienia pragnę, tak wam prawdę powiedziałem.

— Już dobrze, to się wykaże w sprawie całej, na dziś nie ma innej rady.

I Janka odprowadzono do więzienia. Tymczasem zawezwano świadków: owych kmiotków i rzeźnika, którzy Janka przy zabitym zastali.

Tak pierwsi, jako i ostatni zgodnie zeznali, że jadąc drogą, zastali owczarka właśnie przy zabitym, a czasu do ucieczki już nie miał; rzeźnik dodał, że słyszał krzyk jakiś, na który nadleciał i oto już zabitego kupca w ręku owczarka zastał. Doktorzy, którzy zrewidowali zabitego, orzekli, iż tenże tępem narzędziem w głowę uderzony, zaraz ogłuszonym został. I to sprawę Janka pogarszało, gdy świadkowie zeznali, jako kij jego gruby skrwawiony widzieli.

Gdy już wszelkie przedstępne zebrano materyały, powołano Janka na sąd ostatni.

Kilka tygodni więzienia, postu i zmartwienia strasznie zbiedziły Janka, ledwo chodzącego, okutego w żelaza, przywiedziono go na ławę oskarżonych. Jeszcze atoli miał on nadzieję uwolnienia, boć nie mógł wierzyć, iżby go niewinnie osądzono.

Stawili się także świadkowie i zeznali pod przysięgą swe twierdzenia.

— Cóż ty na to, Janku? rzecze sędzia.

— Jam niewinny, ja go nie zabiłem.

— Nie słyszysz, co oni zeznają, czyż możesz jeszcze się zapierać?

— Prawda, co oni mówią, W. Panie sędzio, alem ja już zabitego zastał.

— Toć cię ludzie przytrzymali na gorącym uczynku, toć ręce miałeś skrwawione, a i kij twój gruby krwią był zmazany. Po cóż zapierasz się tedy, to tylko karę powiększa. Zatem raz jeszcze radzę ci, wyznaj prawdę, bo tu kłamstwem już się nie wywiniesz.

— Jam niewinny! krzyknął Janek.

— A więc któż go zabił — mów? kiedy nikogo tam więcej nie było; kogo widziałeś?

— Nikogom nie widział; gdy po krzyku przybiegłem, jeszcze ciepły był kupiec, jeszcze się poruszał.

— Tak, jam słyszał krzyk, idąc drogą, rzekł rzeźnik i spiesząc się, zastałem kupca w ręku Janka już zabitego.

— Sprawa czysta i jasna, rzekł sędzia, tylu świadków pod przysięgą zeznało na twą niekorzyść, zabiłeś kupca by go zrabować, czego atoli dokazać już nie mogłeś, bo cię przytrzymano przy krwawym czynie, a zresztą jak rewizya okazała, kupiec przy sobie gotówki nie miał. Zapieranie twe, owszem twą karę powiększy.

Prosił, błagał, zaklinał się Janek, iż jest niewinny, ale wobec tylu dowodów, cóż innego mogło go czekać, jak tylko kara śmierści? To też sędziowie jednozgodnie osądzili go winnym śmierci kupca. Wyrok brzmiał, że ponieważ Janek się okazał jeszcze tak zatwardziałym, do końca sprawy, więc stanie okuty w łańcuchach pod pręgierzem, tam surową odbierze chłostę, następnie na szubienicy powieszonym zostanie.

Kiedy wyrok ten Jankowi przeczytano, padł zemdlony na ziemię i z izby sądowej odnieść go musiano.

Przed ratuszem Poznańskim stoi kamienny słup, pręgierzem zwany, a nad nim stoi mąż z mieczem w ręku, który oznacza sprawiedliwość wymierzającego.

Tu, do tego pręgierza po wyroku przywiedziono Janka i przykuto go doń łańcuchem, na widok publiczny. Płakał gorzko na swą dolę Janek, ale łzy jego nie wzbudzały litości, owszem, jak to się zwykle u ludzi dzieje, zbierali się w około i wyszydzali go. Jedni wyrzucali mu ciężką zbrodnię, inni pluli nań, inni obrzucali błotem i ziemią nań ciskali. I biedny Janek ten wstyd, hańbę, te szyderstwa wytrzymać musiał.

Zrazu chciałby się był pod ziemię schować, ale potem, pomodliwszy się, osłupiałem tylko spoglądał okiem, aż pod wieczór straż przybyła, zewlekła go z wierzchniej szaty i pod pręgierzem osmagała. Dotkliwe rany ocuciły zdrętwiałego Janka, krzyczał przeraźliwie, rzucał się z bólu i wołał:

— Nie bijcie mię ludzie, jam niewinny!

— A to zatwardziały grzesznik! wołano zewsząd, jeszcze niewinnego udaje!

Zbitego owczarka odniesiono do więzienia. Tu zastał kapłana, który go miał na śmierć przysposobić.

Zrazu szarpał się, krzyczał, przeklinał i sędziów i świadków, ale kapłan zwolna uspokoił go, pocieszając, że woli Boga i sprawiedliwości ludzkiej zwierzchności poddać się trzeba, bo inaczej i na tym i na drugim świecie zginiemy. Radził mu szczerą spowiedzią pojednać się z Bogiem. Chę-

tnie Janek stanął przed trybunałem pokuty św. Tam widać całkiem pogodził go kapłan z losem, bo różnie Bóg swą służbę ludziom przeznaczył. Po spowiedzi czuł się Janek spokojniejszym i całkiem polecił się Bogu, oczekując tylko strasznego wykonania wyroku. Dokończenie nastąpi.

POŚWIĘCENIE.

W najgorszych dniach rewolucyi francuzkiej poświęcenie i bohaterska stałość kapłanów katolickich, którzy tajemnie wiernym Sakramentów św. udzielali, ukazała się w najpiękniejszem świetle. Można powiedzieć, że prześladowania i niebezpieczeństwo, grożące szczególnie kapłanom, czyniły ich stalszymi i do poświęceń tem więcej gotowymi.

Pewien kapłan wybrał sobie za pole działanie stołeczne miasto prowincyi Forez, gdzie prześladowanie było najokrutniejsze. Żołnierz, który mężnie w bitwie się potyka, zyskuje pochwałę i podziw; zowią go bohaterem. Jakiem mianem nazwać takiego kapłana, który wśród nieprzyjaciół srogich, co dzień, co godzinę naraża życie swoje na śmierć nie dla marnej chwały lub zysku, lecz z miłości Boga i bliźniego? Czyż on nie większym bohaterem od najwięcej bohaterskiego żołnierza?

Z czynów owego kapłana, opowiadają następujące zdarzenie:

Pewnego dnia przybył do domu, w którym się ksiądz ukrywał, posłaniec i rzekł:

— Pewna niewiasta bliską jest śmierci. Niewiasta ta pobożna życzy sobie z całego serca, aby mogła się wyspowiadać i przyjąć komunię św. przed śmiercią.

Kapłan wypytawszy się, gdzie owa chora mieszka, odpowiedział:

— Przyjdę za chwilę.

Zaledwie jednak pierwszy posłaniec wyszedł, wbiegł inny do izby i zawołał:

— Czy nie wołano księdza do pewnej chorej niewiasty? Niech ksiądz nie idzie, bo to jest zasadzka. Nasi okrutnicy dowiedzieli się, że owa niewiasta jest chora i postanowili z tego skorzystać, ażeby księdza, który jej ostatnich Sakramentów św. udzieli, pochwycić i umęczyć. Niech ksiądz nie idzie! Gdyby się ksiądz w ręce nieprzyjaciół krwiożerczych dostał, czekałaby go śmierć pewna, śmierć haniebna na rusztowaniu, bez sądu.

Kapłan usłyszawszy te słowa, padł zaraz na kolana i zamknąwszy oczy, krótką chwilę wytrwał na modlitwie. Szukał utwierdzenia u Pana Jezusa.

Gdy powstał, twarz miał spokojną i spokojnym głosem rzekł:

— Dobry pasterz daje życie za owieczki swoje. Zawołano mnie, więc pójdę, Bogu pod opiekę się oddawszy.

Ponieważ słońce jeszcze nie zaszło, czekał kapłan, aż się to stanie, bo w mroku czuł się bezpiecznym. W tym czasie wdział na siebie szaty chłopskie, w tem przebraniu bowiem łatwiej mu było dostać się do chorej.

Wyszedłszy z domu, spojrzał bacznie dookoła, czy kogo podejrzanego nie zauważy, a nie spostrzegłszy niczego, ruszył żwawym krokiem. Im dalej szedł, tem bardziej się uspakajał i myślał sobie, że może wiadomość o zasadzce była nieprawdziwa. Przyjaciele dobrzy, trwożąc się o jego życie, uwierzyli zapewnie pogłosce.

Podczas całej drogi nie zobaczył nic takiego, coby mu się podejrzanem wydawało.

— Bogu dzięki, — szepnął, otwierając furtkę na podwórze przy domu, w którym chora mieszkała.

Zaledwie jednak kilka kroków naprzód

postąpił, gdy nagle otoczyło go kilku ludzi z krzykiem i hałasem.

— Teraz cię mamy nędzny i niegodziwy człowieku! Jużeśmy dawno na ciebie czatowali, lecz zawsze zdołałeś uciec przed nami. Teraz jednak już ci się to nie uda!

— Najlepiej go zaraz zastrzelić, — wołali jedni.

— Nie, — odpowiedzieli inni, — niech mu jutro głowę utną na rusztowaniu. Zdrajcy ojczyzny niech mają przykład odstraszający, jak prawdziwi miłośnicy ojczyzny karzą zdradę.

Inni wciąż tylko lżyli kapłana i klęli straszliwie na niego i na wszystkich księży.

Podczas tego kapłan milczał i ofiarował Bogu życie swoje w ofierze. Gdy nakoniec napastnicy umilkli, tak się do nich odezwał:

— Przyjaciele, nie jestem zdrajcą, ani niegodziwcem, za jakiego mnie macie. Nigdy nie uczyniłem nic wrogiego względem ojczyzny i rządu. Całe moje działanie w tem się mieści, że chorym spieszę z pomocą, aby ich w cierpieniach pocieszyć i na spokojną śmierć przygotować. Widzicie przecie, że i teraz idę zawołany do chorej niewiasty, w tym domu mieszkającej. Proszę was tylko o jedną łaskę: Pozwólcie mi ową chorą na śmierć zaopatrzyć, a potem róbcie zemną, co chcecie.

Takie słowa musiały wzruszyć i najtwardsze serce. Rzeczywiście też napastnicy zgodzili się na to, o co ich prosił.

— Wejdź do domu, — zawołał jeden z nich, — ale nie myśl o ucieczce, bo ci się to nie uda.

Kapłan wszedł do izby, w której chora leżała. Izba miała okno wychodzące na ogród. Możeby można uciec tą drogą? Lecz księdzu ani w głowie taka myśl; nie myśli w tej chwili o sposobie ucieczki, lecz o duszy chorej niewiasty, pragnącej pojednania się z Bogiem.

— Ach, jakżem nieszczęśliwa! — mówi chora ze łzami. — Jam przyczyną, że księdza chwycili. Lecz cóż miałam począć, skoro dusza moja pragnęła i potrzebowała pomocy na drogę wieczności. Niech się ksiądz nie boi. Modliłam się gorąco do Matki Boskiej, ażeby was, czcigodny ojcze swoją opieką otoczyć raczyła. Wierzę silnie, że prośba moja zostanie wysłuchaną.

Ksiądz usiadł przy łóżku i zaczął słuchać spowiedzi chorej. Lecz niedługo otwarły się z trzaskiem drzwi i dzika zgraja napastników ukazała się na progu; widocznie obawiali się, aby im ksiądz nie uciekł.

Spokój kapłana jednak, pełniącego bez trwogi swój obowiązek, wywarł na nich wrażenie. Cofnęli się z izby i zamknąwszy drzwi, czekali w sieni.

Gdy nakoniec spowiedź się skończyła, i kapłan komunii św. chorej udzielił, otworzył sam drzwi i rzekł:

— Teraz oddaję się w wasze ręce. Wypełniłem mój obowiązek, róbcie zemną, co chcecie. Ciało moje możecie zabić, dusza jednak jest w ręku Boga.

Ale cóż to? Nikt z napastników nie rusza się, nikt nie grozi, nie chwyta kapłana! Wszyscy stoją, oczy ku ziemi spuściwszy, zawstydzeni i pokorni, jak barankowie, gdy przed chwilą podobni byli krwi spragnionym zwierzętom.

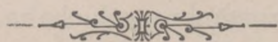
A dowódzca ich? To syn tej umierającej niewiasty, który zamiast matce o pociechę się postarać, zasadzkę na życie tego uczynił, kto był pocieszycielem matki jego w ostatnich godzinach życia.

Długo serce jego było twarde, jak skała. Lecz teraz łaska Boska wzruszyła je i skruszyła. Pada na kolana przed kapłanem i prosi o przebaczenie.

Ach, jakiż wzrok, pełen dziękczynienia, jakież westchnienie, pełne podziwu, posyła kapłan ku Niebu! Tyle dusz nawrócić z z złej drogi na drogę wiary i miłości chrześciańskiej!

— Dzięki ci Boże! — woła kapłan i klęka. Wszyscy klękają i modlą się, a chora łkając z wzruszenia szepce:

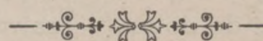
— Synu... odbierz moje błogosławieństwo. Umieram spokojnie, bo widzę ciebie nawróconego....



Jak rycerza Sigismunda Stillfrieda oduczono klątwy.

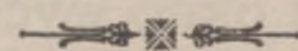
(Z kłodzkiej kroniki z roku 1540).

W roku 1534 chciał rycerz Sigismund Stillfried na zamku swoim przy Nowej Rudzie dać w pewną niedzielę gościnę i zaprosił na nią sąsiadów swoich. Ponieważ wysłani posłowie przyszli wszyscy z odpowiedzią, że zaproszeni nie mogą przybyć, zaklął rycerz straszliwie i powiedział: ,,To niech wszyscy djabli z piekła będą gośćmi moimi''. Z nudów poszedł do kościoła. Tymczasem wjechała gromada czarnych jak smoła osób na dziwacznie wystrojonych koniach do zamku. Psy pokryły się na ten widok do bud i wyły, parobcy i dziewki pokryli się i modlili się. Straszne postacie pozsiadały z koni, weszły do zamku i z rykiem i wyciem zasiadły za zastawiony stół. Jeden z odważniejszych parobków poszedł do kościoła powiedzieć panu, że goście, których sobie rano z klątwą życzył, już przybyli. Wystraszył się rycerz i poszedł do księdza, ażeby mu opowiedzieć, co zaszło i prosił o radę. Ksiądz skorzystał z sposobności, ażeby go wyłajać za klątwy jego i radził mu, ażeby się trzymał z rodziną swoją zdala od zamku swojego. Rycerz tak uczynił, lecz dziecko jego pozostało w pazurach tych potworów. Gdy z strachem jeździł w pobliżu zamku, starając się wyszukać, jakoby dziecko z pazurów czartowskich wydostać, widział, jak jeden czart stał w oknie z dzieckiem jego i ogromnym językiem je lizał. Gdy rozpacz jego o dziecinę już doszła do najwyższego stopnia, zgłosił się jeden z służących, że się odważy w imię Boże po dziecię iść. Gdy wszedł do izby, przyjęło go całe towarzystwo ogromnym wrzaskiem. ,,Co chcesz psie'', wołali na niego. ,,W imię Boże oddajcie mi dziecię''. ,,Niech sobie pan twój sam po nie przyjdzie, to mu go oddamy''. Lecz sługa skoczył śmiało ku kołysce, wyjął dziecię i uciekł z niem. Trzy dni przebywało straszliwe towarzystwo tu w zamku i jadło i piło z całych sił, jak tego zwykle duchy nie czynią. Nareszcie po trzech dniach o północy wynieśli się z rykiem i strzelaniem biczów, a jak sobie stróże opowiadali, jechali w powietrzu. Na drugie rano sprowadził się wystraszony rycerz do zamku. Od tego czasu zmienił się całkiem; klątwy zaniechał zupełnie i był poddanym swoim bardzo dobrym panem i był wkrótce od nich miłowanym. Dopiero po długich latach przyznał mu się jeden z jego szczerych przyjacieli, że to on urządził z innymi przyjaciołmi całą tę komedyą, ażeby rycerza odzwyczaić raz na zawsze od dzikich obyczai jego. Opisał mu też dokładnie, jak byli wszyscy przebrani i jak strach i fantazya służby wszystko uczyniła straszniejszem. Rycerz podziękował mu serdecznie za naukę i święcił odtąd rokrocznie w gronie przyjaciół swoich rocznicę nawrócenia swojego przez — ,,czartów''.



Legenda o zegarze.

Opowiadanie z przeszłości.



W posiadaniu rodziny Debułtyckich był od dawnych lat starożytny zegar ścienny. Przedstawiał on meczet czyli świątynię turecką. Mistrzowskiej ręki było to dzieło; wskazywał godziny, minuty, sekundy, dnie i wszystkie obroty księżyca; z mosiądzu czy

z bronzu zrobiony, grubo wyzłacany, delikatnej nadzwyczaj rzeźby, jako przedmiot kunsztu był nadzwyczaj wielkiej ceny.

O tem zegarze opowiadał Starosta, co następuje:

,,Uważałeś może waszmość między portretami familijnymi jeden, wystawiający rycerskiego męża z wystrzelonem okiem; był to przodek mój po kądzieli, bo od jego córki idziemy. Otóż urodził on się czy w początkach panowania Władysława IV-go czy przy końcu rządów Zygmunta IIIgo; za Jana Kazimierza był już podobno pułkownikiem w wojsku, a za Michała Korybuta czy Jana IIIgo został kasztelanem chełmskim.

,,Szalonej odwagi i siły niepospolitej w tych czasach ciągłych wojen to ze Szwedem, to z Kozaczyzną, to Bisurmanami, miał pole zadosyćuczynić wojowniczej swojej żądzy; cały też prawie żywot swój spędził w obozach i umarł jak żył, to jest z bronią w ręku. Łagodność nie była jego cnotą i mówią, że często jeńcom pardonu dawać nie kazał, a raz podobno miasto jakieś szturmem zdobył i w pień wyciął.

,,Był on po dwa razy w niewoli bisurmańskiej, kilka osób z jego rodziny w wojnach z nimi życie utraciło. Wspomnienia więc przeszłości i własna bieda, jakiej między poganami doznał, wzbudziła w nim nienawiść do imienia bisurmańskiego, co więc z nich w ręce mu popadło, rzadko żywe ostało. — W obozie pod Żórawnem, kiedy wielkiej pamięci król Jan, z kilku tysiącami zbrojnego ludu opierał się krociom Turków i Tatarów, był i pan Kasztelan Chełmski z pułkiem swoim. Wyjeżdżał co dzień za okop i na harc Turków wyzywał i zawsze jakiegoś sprawił, bo był do korda zuch wielki. Było tego długo, bo oblężenie z miesiąc trwało, aż dnia jednego dowiedziawszy się, że to nadchodzi jakieś święto tureckie, i że oni dzień ten cały i noc na modlitwie i biesiadzie spędzać mają, idzie do króla i prosi, żeby mu pozwolił z ludem swoim wpaść w nocy na obóz turecki, zapewniając, że obejdzie błota, na prawem skrzydle obozu będąc, i z tyłu na nich natrze. Król wysłuchawszy go, dał swoje przyzwolenie, i p. Kasztelan w kilkaset koni, ku wieczorowi ciągnął nad błotami na tyły tureckie.

,,Znał on sam dobrze miejscowość, a i przewodników miał z sobą; przeszedł naddniestrzańskie łozy, wszedł w nie duży las, a kiedy z niego wychodził, spostrzegł przed sobą łunę na niebie, zatrzymał swój oddział, a sam wyjechał na wzgórek, żeby rozeznać coby to było i ujrzał nieprzejrzane okiem koczowisko tureckie, oświecone tysiącem obozowych ogni; poznał więc zaraz, że już im z tyłu zaszedł.

,,Wrócił do swoich, sprawił ich do boju, zostawił pod wodzą któregoś z rotmistrzów, a sam z jednym towarzyszem, który jak on sam po turecku mówił, jechał naprzód, żeby sprzątnąć czaty, gdyby jakie napotkał.

,,Turcy z tej strony nie spodziewając się napadu, nie wiele ostrożności zachowali, a potem szanując święto, jak najmniej w dniu tym ludzi do służby obozowej odrywali; najechał tylko jakiegoś Spaha, który zaledwie słów parę wybełkotał, szabla Kasztelana zamknęła mu mowę na wieki, a towarzysz uchwycił konia, żeby wpadłszy do obozu, nie zbudził czujności biesiadujących Turków. Czaty były rzadko rozstawione, skoro więc jednę sprzątnął, śmiało tą luką spieszył do obozu tureckiego. Nadjechali już tak blisko, że mogli rozeznać twarze siedzących przy ogniu Turków, jak piekli barany i zajadali je smaczno.

,,Kasztelan zatrzymał swoich i oczyma szukał miejsca, gdzieby wpaść mógł najłatwiej; po chwili podniósł szablę do góry, kilkaset głosów wykrzyknęło hura! Turcy się pozrywali na nogi i uciekają, a tu szeroko rozwinięty oddział Kasztelana zagarnia ich,

tratuje końmi, kopiami do ziemi przybija, i jak rozhukana fala sunie na karkach tureckich w środek obozu.

Kasztelan zeskoczył z konia, porwał głównię z ogniska, i krzyknął na swoich: ,,Podpalaj!" kilkudziesiąt towarzystwa poszło za przykładem wodza i wszczął się pożar straszny, a przesądnym Turkom zdało się, widząc wśród płomieni błyszczące zbroje Kasztelana i jego towarzyszów, że to Azrael, duch złego, co śmierć przed sobą, a zniszczenie za sobą niósł w ich obóz. Okrzyk natarcia, przeraźliwy gwałt uciekających poruszył cały tabor; ze wszystkich stron odezwały się chrapliwe trąby jańczarów, spahów i głuchy huk kotłów; migają zielone turbany agów, głos ich wzywa wyznawców Proroka do obrony, ale napróżno: przestrach ogarnął wszystkich, kupią się, potrącają, i jedni drugich pchają pod kopyta końskie, a niewolnicy polscy, a raczej lud wiejski, który Turcy uprowadzili i tysiącami trzymali w obozie, widząc popłoch między niewiernymi, zaczęli rwać więzy swoje i broń wyrywać strażnikom i biegli do Kasztelana, wołając:

,,Ot, tam namioty Szejtana Baszy, poprowadzimy cię, panie!". Kasztelan zwrócił konia w kierunku mu wskazanym i pędzi ku namiotom; dopadł jednego z nich, ciął szablą, a przez otwór uderzył go blask i światła i ujrzał siedzącą na wezgłowiu kobietę w bogatym stroju, koło niej klęczące dwie czarne niewolnice, a obok nieduży chłopiec. Domyślał się Kasztelan, że to musi być syn Szajtana, zeskoczył z konia, uwolnieni więźniowie rozdarli szerzej otwór w namiocie szablą zrobiony, a otworem wpadł Kasztelan z zakrwawionym pałaszem i porwał za gardło chłopca, który nawpół nieżywy, patrzał osłupiałemi oczyma w miedzianą twarz Kasztelana. Ten oddał go swoim, potem obejrzał się dokoła, a widząc ten zegar na trojnóżku stojący, wziął go, równie jak kobierzec, na którym spoczywał, jako dowód, że był w namiocie Baszy. Cała ta rzecz w mgnieniu oka się zrobiła, a przerażona Turczynka padła na kolana przed Kasztelanem i błagała, by jej oddał syna. Na całą odpowiedź kopnął ją nogą, a rozjadły wykrzyknął:

,,Upiec go każę żywcem i psom na pastwę rzucę! powiedz to Szejtanowi od Kasztelana Chełmskiego". Dok. nastąpi.

Do mego syna chrzestnego.

Mała dziecino, dziś kapłańskie dłonie
Chrystusowemi okryły cię godły,
A z serc życzliwych płyną na twe skronie
Błogosławieństwa i serdeczne modły.

Pod błogosławieństw i modłów opieką
Niech zdrowo wzrasta i krzepi się ciało;
By sił starczyło na podróż daleką,
Gdzie wiele cierni, a róż bardzo mało.

Pókiś dziecięciem w kolebce, w powiciu,
Błogosławieństwa i modły wystarczą;
Ale czy potem w całem twojem życiu
Będą ci one i zbroją i tarczą?

Z dziecięcia w krzepkie wyrośniesz pacholę,
Potem młodzieńcem, potem będziesz mężem,
Znajdziesz po drodze dobrą i złą dolę,
Wszędy przebijać się przyjdzie orężem.

Ale ten oręż nie kuty ze stali,
Ani go kupić za srebro lub złoto;
On nie zabija, nie rani, nie pali,
Ten oręż zwie się: dobrą wolą — cnotą.

I nie wziąć z obcych rąk tego oręża,
Bo choć hartowny, dzielny, doświadczony,
Choć w polu walki niechybnie zwycięża —
Trzeba go ukuć własnemi ramiony.

Kiedy tak zbrojny wystąpisz na boje,
Jako lew chrobry, jako łabędź czysty,
Nie bacz na trudy, zwady i znoje,
Stój przy chorągwi jako "miles Christi.*)

*) Żołnierz Chrystusów. *W. z nad Sejenki.*

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.



Kostuś i jabłka.

Znaczenie ryciny powyższej łatwo zrozumią młodzi nasi czytelnicy i czytelniczki. Zuch Kostuś widząc w ogrodzie tatusia prześliczne czerwone jabłuszka na jabłoni, pomimo że ich podostatkiem miał w domu, z zwinnością kota wlazł na drzewo, aby choć jedno jabłko zerwać. Chwyta za młodą gałąź, na której najwięcej znajduje jabłek, pociąga dość silnie i gałązka pęka... Nie wiedząc, że zrobił źle, przynosi ją do domu i pokazuje ojcu, który go ostro za to strofuje i grożąc palcem surowo i pod karą napomina, aby po raz drugi tego nie robił, raz dla tego, że niebezpiecznie jest wdrapywać się na drzewa, a potem i dla tego, że na złamanej gałęzi już nigdy smaczne jabłuszka rosnąć nie będą. Mały Kostuś z zawstydzeniem słucha napomień ojcowskich i w serduszku mocno postanawia, że już nigdy zakazu ojcowskiego nie przestąpi.

Amna, pobożne dziewczę murzyńskie.

III.

Chrzest Amny.

Gdy ksiądz Oliwieri wieczorem 11go Września 1853 roku z Amną do klasztoru w Pinerelo przybył, oddał dziewczynkę przełożonej klasztoru, mówiąc:

— To jest jedna z wybranych, bardzo wam ją polecam.

Niezadługo się też okazało, że miał słuszność. Amna miała już około 7 lat, lecz nie była jeszcze ochrzcona. Przygotowywano ją więc do tego świętego obrządku. Zaledwie zrozumiała jakie łaski człowiek przez chrzest święty dostępuje a powzięła nieprzezwyciężoną chęć ku temu. Gdy ją uczono katechizmu, mawiała do zakonnicy:

— Objaśnij mnie, proszę, jak najwięcej, chcę się szybko nauczyć, aby jak najprędzej chrzest św. otrzymać. Skoro się nie nauczę katechizmu, nie udzieli mi biskup chrztu.

Innym razem mawiała, wzdychając:

— Och jak jesteście szczęśliwymi, kochane siostry, że już macie w sercu Pana Jezusa! Ach, ja go dotychczas nie znam; jesteście dziećmi Pana Boga, ja niem nie jestem!

Mawiała to z takiem uczuciem lejąc łzy przytem, że i słuchającym na płacz się zbierało.

Za każdym razem spotkawszy biskupa prosiła go o chrzest św. Często w swej naiwności zdejmowała okrycie z głowy, podnosiła główkę do biskupa, mówiąc:

— Umyj mnie, umyj kochany biskupie! oczyść mą duszę.

Następnie chwytała rękę biskupa, kładła ją na swą głowę, wołając:

— Kochany biskupie! lej mi wodę na głowę; moja dusza zupełnie czarna, spiesz się, otwórz mi niebo, abym się stała jak najprędzej dziecięciem Pana Jezusa.

Chęć otrzymania chrztu św. wzrastała z każdym dniem u małej murzynki. Gdy najprzewielebniejszy X. biskup uznał ją za dostatecznie przygotowaną, przeznaczył na obchód uroczystego obrządku pierwszą Niedzielę po Wielkanocy roku 1854.

Niepodobno opisywać jej wzruszenia i radości. Liczyła ona dni i godziny, wołając co chwilę:

— Ach, co za szczęście dla mnie, jeszcze tylko krótki czas a otrzymam chrzest św. i będę dziecięciem Pana Jezusa!

Myśl spodziewanej łaski tak ją przejęła, że nocą śniła a całymi dniami opowiadała o swej radości. Nie była w stanie myśleć o czem innem.

Zbliżył się wreszcie dzień 23 kwietnia i najgorętsze życzenie Amny się spełniło. Razem z nią otrzymało jeszcze jedno dziewcze murzyńskie chrzest św. Amna otrzymała na chrzcie imię Józefa.

Po uroczystości prosiły obie nowoochrzcone przełożoną klasztoru:

— Ach pozwól nam obejrzeć ten piękny kościół, ołtarz i piękne rzeczy biskupa, które miał na sobie, gdy nas ochrzcił!

Nie widziałyśmy bowiem żadnej z tych pięknych rzeczy, myślałyśmy wciąż tylko o Jezusie i trzeba było dobrze uważać, aby się nie pomylić w odpowiedziach.

I mówiły prawdę. Podczas całej uroczystości, trwającej półtrzeciej godziny tak były w sobie skupione a przytem tak skromne, że nie widziano, aby na chwilę chociaż oczy w górę podniosły.

IV.

Józefa otrzymuje Sakrament Bierzmowania i Komunią św.

Szybko i widocznie rozwijało się źdźbło chrześciańskiej miłości, ręką Boga w sercu

dziecka zasiane. Gdy zobaczyła biskupa, wołała:

Kochany Biskupie, udziel mi Sakramentu Bierzmowania św.

— Ależ moje dziecko — odpowiadał biskup — ciesz się wpierw, żeś już Chrzest św. otrzymała; przez Chrzest św. ustąpił zły duch z twego serca. Czyś jeszcze nie jest zadowolona?

— Tak mój Biskupie — odpowiadała Józefa — jestem zadowolona, gdyż pozbyłam się z serca mego złego ducha. Jednakowoż zły duch stara się duszę mą oczernić, a nie mam tyle sił, aby z nim walczyć.

Na to odpowied iał jej biskup:

— Dobrze więc; ucz się pilnie katechizmu, a gdy go się do Zielonych Świątek dobrze nauczysz, natenczas przybędę i wybierzmuję cię.

Usłyszawszy to dziecko nie posiadało się z radości.

— Ach dzięki ci, tysiąckrotne dzięki— wołała klaszcząc w ręce — będę się pilnie uczyła. Będę się bardzo szybko uczyła, a mój Anioł Stróż mi dopomoże.

W oznaczonym dniu wysłuchał ja biskup spowiedzi i wybierzmował ją. Józefa miała na sobie w dniu tym tę samą sukienkę białą, w której przystępowała do Chrztu św.

Jeszcze zanim dziewczę zostało ochrzcone, okazywało wielkie pragnienie otrzymania Komunii św. Pewnego dnia zauważyła, jak zakonnice przystępowały do Stołu Pańskiego.

— Gdzie to siostry idą? zapytała swą nauczycielkę.

— Idą, aby przyjąć Pana Jezusa — odpowiedziała jej nauczycielka. Na te słowa dziecko zamilkło. Gdy na drugi dzień zobaczyła znów przystępujące do Komunii zakonnice, opuściła swe miejsce, złożyła ręce i chciała iść za niemi.

— Gdzie to idziesz? — zapytała nauczycielka.

— Idę przyjąć Pana Jezusa.

— Nie, nie, jeszcze nie jesteś ochrzcona, więc i Pana Jezusa nie możesz do siebie przyjąć.

— Jeżeli nie przyjąć, to pozwól chociaż pocałować — zawołało dziecko z płaczem.

Lecz i tej prośbie nie można było zadość uczynić, skutkiem czego dziecko było niepocieszone.

Po Chrzcie św. pragnienie otrzymania Sakramentu Komunii św. było u dziecka jeszcze gorętszem.

— Mój kochany Biskupie — mawiała zobaczywszy go — proszę cię, daj mi Jezusa, mego Jezusa, gdyż już dłużej bez niego żyć nie mogę.

— Przecież cała do Pana Jezusa należysz — odpowiedział jej biskup — cóż jeszcze więcej chcesz? Musisz tymczasem się kontentować.

— Nie, nie, nie kontentuję się, tak długo dopóki Pana Jezusa do siebie nie przyjmę.

Następnie złożyła rączki jakby do modlitwy, mówiąc ze łzami:

— Kochany Biskupie, bądźże miłosiernym i daj mi prędko Pana Jezusa.

Gdy już dziecko było należycie przygotowane wyznaczono dzień, w którym miało odebrać pierwszą Komunią św. Upragniony przez nią dzień było święto Najświętszego Serca Pana Jezusa, dnia 23go Czerwca 1854 r.

Od tego czasu starała się Józefa jeszcze więcej unikać tego, coby jej ukochanego Zbawiciela obrazić mogło.

Pewnego wieczora wymknęło się z jej ust małe kłamstwo.

— Jutro nie przyjmiesz Komunii św.— rzekła nauczycielka — jeżeli wprzódy do matki przełożonej nie pójdziesz, popełnionego błędu jej nie wyznasz i nie poprosisz o pozwolenie wyspowiadania się.

Była to dla dziecka bardzo twarda pró-

ba. Jednakowoż Józefa się jej poddała, słówka nie rzekłszy. Na drugi dzień była jednak żałość dziecka za popełniony błąd tak wielka, że się ani spowiadać ani Komunii św. przyjąć nie mogła, i gdyby się nią wkrótce zakonnice nie były zajęły, byłaby zachorowała.

Łkając i ze łzami wołała bezustannie:

— Ach, nie przyjąć Pana Jezusa; co za wielka boleść.

Było to jej pierwsze i ostatnie kłamstwo.

Delikatność jej w tym względzie była tak wielka, że często wieczorem mawiała do swej nauczycielki:

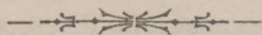
— Nie mogę wcale usnąć, gdyż to a to mówiłam. Czy to było kłamstwem?

— Nie, kochane dziecko! śpij spokojnie.

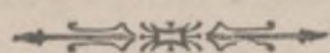
I jak anioł niewinne dziecko dopiero wtenczas uspokojone zasypiało. Pragnienie przyjęcia Komunii św. wzrastało z ciągle trwającą chorobliwością dziecka.

— Potrzebuję koniecznie przyjąć Pana Jezusa — mawiała — gdyż nauczy on mnie znosić cierpliwie chorobę.

Dokończenie nastąpi.



DWIEŚCIE FUNTÓW.



Parowiec "Hetta" rozbił się na pełnem morzu; spuszczono łodzie, ale niebawem wszystkie znikły w głębinach, jedna tylko się pozostała, a w niej siedmioro ludzi; czterech marynarzy, porucznik i dwie dziewczynki, córeczki kapitana.

Fale, piętrząc się, tworzyły ruchome wały i zapadały w otchłań, z hukiem podobnym do uderzenia piorunu. Wiatr szalał po spienionych przestworach wód a sternik, ocierając co chwila twarz zmoczoną, powtarzał porucznikowi, że burza potrwa ze dwie godziny.

Łódź była jednym szczątkiem, pozostałym z pięknego okrętu. Garstka rozbitków, która się do niej schroniła, znużona trudami i bezsennością, zamglonym wzrokiem wpatrując się w chmurny widnokrąg, badała, czy na mrocznem jego tle nie ukaże się ziemia lub zbawczy żagiel.

Przez szczelinę w łodzi woda sączyła się nieustannie; wyrzucono już wszystko, co obciążało wątły statek.

— Odwagi! — zachęcał porucznik.

Woda wciąż się sączyła, łódź zanurzała się coraz głębiej. Marynarze rzucili już w otchłań swoje odzienie i drżeli z zimna, smagani wiatrem, przemokli, znużeni.

Świtało, kiedy porucznik wydał okrzyk radości. Łódź, porwana na grzbiet bałwanu, zawisła na chwilę między niebem a morzem; z tej wysokości bystre jego oczy dojrzały ziemię. Nadzieja rozjaśniła stroskane twarze. Krótką była radość: łódź zanurzyła się znowu głęboko.

— Poruczniku — szepnął sternik — łódź niedługo pójdzie na dno....

— Milcz! — przerwał mu oficer.

— Trzeba wyrzucić z niej koniecznie dwieście funtów — dowodził uparcie stary marynarz.

— Zkąd ich wziąć?

Sternik i porucznik rozmawiali z sobą po cichu, tymczasem inni majtkowie wiosłowali niezmordowanie, żeby jak najprędzej dobić do lądu.

Za kwadrans morze wszystkich pochłonie.

— Jeden z nas musi się poświęcić dla ocalenia reszty — rzekł sternik.

Porucznik zbladł i zaciął zęby.

— Masz słuszność — powtórzył ponuro. — Spojrzyj na te dzieci — dodał po chwili — to najdroższe skarby kapitana.

— Zacny nasz kapitan powierzył je to-

bie poruczniku.... jesteś teraz jedynym ich opiekunem.... Hm.... jeden z naszych marynarzy, Iwon, ma narzeczoną, która na niego czeka....

— Mieli się pobrać, skoro powróci.

— Piotr Legol jest także bardzo młody....

— Utrzymuje ze swojej pracy matkę, staruszkę.

— A Jan?

— Jan ma żonę i dwoje dzieci.

— W takim razie, niema co się namyślać. Pozwól mi uścisnąć rękę twoją, poruczniku....

Młodzieniec pobladł.

— Nie, mój dzielny starcze; niepodobna żebyś ty zginął.

— Poruczniku.... tak być musi.

— Rozkazuję ci zostać. Jestem oficerem marynarki królewskiej, obowiązany jesteś słuchać mnie.... Skręć na prawo....

Sternik posłuchał, lecz po chwili rzekł stanowczo:

— Pozwól mi mówić poruczniku.... Jesteś młody, masz świetną przyszłość przed sobą. Jam stary, nie mam nikogo na świecie, wszyscy ukochani moi pomarli. Czas nagli; za dziesięć minut będzie zapóźno. Trzydzieści lat pracowałem uczciwie dla kraju, mam więc prawo odpocząć. Pozwól mi ocalić was wszystkich. Ja tam w głębinach znajdę tylu starych towarzyszy....

Wstał i oddał ster w ręce porucznikowi.

Fale już dosięgały burty.

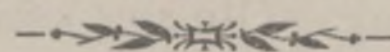
— Baczność! — upomniał — jedno poruszenie a łódź się wywróci.

Porucznikowi ręce drżały.

Starzec przeżegnał się i skoczył w morze, które zamknęło się nad nim jak wieko trumny. Wątła łódź, uwolniona od ciężaru, chyżo pomknęła ku brzegowi.

Kiedy przybiła do lądu, wysiedli z niej wszyscy: brakowało tylko — dwustu funtów.

Smutny koniec zabójcy
paryskiego Arcybiskupa d'Affre.



W czasie zamieszek lipcowych w Paryżu w roku 1848, gdy po ulicach mordował brat brata, syn ojca, ukazał się na ulicy St. Antoine, gdzie wrzała zacięta walka, Arcybiskup paryski d'Affre, by powstrzymać rozlew krwi bratniej, gdy wtem z okien poddasza domu zwanego: ,,Singe wert'' wypadł strzał i powalił szlachetnego rozjemcę na ziemię. Zaniesiono go do szpitala Quinzevingt, gdzie jako męczennik pokoju wkrótce ducha wyzionął. Dochodzenie wykazało, iż zabójcą szlachetnego księcia Kościoła był niejaki Laforce, stolarz z zawodu, który z 10-letnim swym synem uciekł przed zasłużoną karą do Ameryki, by w kopalniach złota Kalifornii ukryć siebie i straszliwą swą zbrodnię.

W roku 1856, przybył do Paryża na przedmieście St. Antoine, młodzieniec wstrętnej powierzchowności, w którym poznano syna osławionego Laforce'a. Opowiadał on, iż ojcie jego natrafił na bogatą żyłę złotodajną, że wybrał się ze zdobytym skarbem do San Francisco, w drodze jednak napadli go zbójcy, zamordowali i zrabowali, a trup jego stał się pastwą dzikich zwierząt.

— Była to kara Boska za zabójstwo Arcybiskupa — dodał z własnego popędu młody Laforce.

Nie koniec na tem — w dwa miesiące potem, oddano i syna jako nieuleczalnie chorego do zakładu obłąkanych, gdzie niebawem umarł.



Jeżeli nie brzydzimy się złem, nie możemy kochać dobrego.

Zacząć — potrafi wielu; dojść do celu — niewielu.

Błądzić jest rzeczą ludzką, wyznać błąd — rzeczą roztropnego.